

Warszawa, dnia 11 (23) Marca 1870 roku.

№ 12. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie—na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie. **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.— **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u Leitgebera, we *Lwowie* u Wilda Karola, w *Zytomierzu* u Budkiewicza księgarza. Rok VI.

Od Redakcji.

Podejmując z początkiem roku bieżącego upadające prawie wydawnictwo **Opiekuna Domowego**, Redakcja dzisiejsza, szczerą wiedziona chęcią utrzymania nadal pisma, rachując w części na własne, a przeważnie na życzliwych zawsze współpracowników siły, przystąpiła do dalszego dźwigania ciężaru, który dzisiaj, przy oczywistém współczuciu jéj czytelników, staje się dla niéj nie tylko coraz lżejszym, ale i coraz milszym.

Dawniejszy Ratusz w Warszawie. (Strona 122-ga).

Od czasu zmiany Redaktora i Wydawcy, to jest od początku roku bieżącego, liczba prenumeratorów **Opiekuna Domowego**, w ciągu upływającego kwartału, wzrosła w trój-

nasób. Liczba ta zdaje się nam być wymownym dowodem: z jednéj strony podniesionéj wewnętrznéj wartości pisma, z drugiéj, wspomnianego wyżéj współczucia jego czytelników.

Opierając się tedy na tych dwóch, tak ważnych dla naszego pisma rękojmiach, to jest na własnéj, szczeréj i chętnéj pracy, wspieranéj znanym w literaturze naszéj zastępem ludzi autorskiemi celujących zdolnościami, tudzież na tak życzliwém dla nas współczuciu publiczności, podajemy do wiadomości powszechnéj: że Opiekun Domowy, wychodzić będzie w następnym II-im kwartale r. b. na dotychczasowych warunkach prenumeraty.

Przytém nadmieniamy, że przy zwiększonych środkach materjalnych wydawnictwa, coraz bardziéj podnosić będziemy stronę jego zewnętrzną, a mianowicie też dołożymy starania: co do ulepszenia i tak już znacznie podniesionéj artystycznéj wartości drzeworytów, pomieszczanych w **Opiekunie Domowym**.

Stali prenumeratorowie w końcu II-go kwartału r. b. otrzymają premjum, o jakości którego późniéj doniesiemy.

Czytelnia Domowa dodawana bezpłatnie do Opiekuna, po skończeniu powieści „Straceni", zamieści poemat obszerniejszych rozmiarów Franciszka *Gumowskiego* p. t. „Przekleństwo", powieść „Żydówka" i „Opis wycieczki w Tatry" Michała *Bałuckiego*, powieści: *Autora Kłopotów Starego Komendanta* „Komornik pod zajęciem" Aleksandra *Osipowicza*,—„Dzika dusza", Jana Kantego *Turskiego*,—„Węglarz" i Oskara *Stanisławskiego* „Pamiętniki Wiercisza" a nadto komedję obszerniejszych rozmiarów, która wkrótce ma być przedstawiona na scenie Teatru Warszawskiego.

Panów prenumeratarów z prowincji, upraszamy o wcześniejsze odnowienie prenumeraty, bo od tego zależy regularność odbioru pierwszych zwłaszcza Numerów pisma naszego w nadchodzącym kwartale, oraz o rozszerzanie dość szczupłego kółka prenumeratorów na prowincji, w stosunku do prenumerujących Opiekuna Domowego w Warszawie.

NAUCZYCIELKI DOMOWE.

Wychowanie dzisiejsze zapatruje się głównie na kobietę ze względu na jéj podwójne przeznaczenie, na jéj podwójne stanowisko w świecie, jako matki rodziny i nauczycielki.

Prace jednéj i drugiéj niezbędne są dla młodego pokolenia, a czy połączone w jednem ręku, czy rozdzielone między więcéj pomocników, zawsze są razem opatrznością dziecięcia i w wspomnieniach każdego z nas, rysują się opromienione urokiem czci i zasługi, miłości i przykładu.

Matka rodziny i nauczycielka! zestawiamy razem te dwie przeznaczone do ścisłéj jedności, chociaż często tak obce dla siebie istoty, które nieznane sobie, spotykają się na drodze życia, biorą za ręce i do wspólnego dążą celu.

Cóż je tak wiąże? cóż je spaja? dwa proste i wzruszające wyrazy: dziecię... poświęcenie...

W sercu jednéj i drugiéj bije żywe źródło miłości dla dziatek; chociaż jedna je czerpie w macierzyńskiem przywiązaniu, druga z tego wrodzonego niewieście przeczucia, które skłania ją ku młodemu pokoleniu, każe je kochać, pielęgnować szanować, nauczać. Na wysokości tych uczuć, te dwie kobiety porozumiewają się, wspierają wzajemnie, otwierają sobie serca, zlewając je w jednę moc zbawienną i opiekuńczą dla wychowańców. Nauczycielka przypuszcza matkę do tajemnic swoich nauk, matka przypuszcza nauczycielkę do tajemnic poświęcenia i płynącéj zeń słodyczy; prawdziwe i piękne obcowanie umysłów.

Takim jest ideał i szczyt owego związku, ale jakaż jest jego powszednia rzeczywistość, o którą się nieraz w życiu ocieramy, jakaż jest istotna w domach naszych dola i los nauczycielek, jeszcze dotąd niekiedy dawnym obcym zwyczajem zwanych *guwernantkami*?

Jeżelibyśmy w tym losie, w téj doli wiele ujemnych stron dopatrzyć mogli, możebyśmy piérwszego ich początku szukać radzi w téj saméj właśnie obcéj i nie mile do ucha wpadającéj nam nazwie.

Guwernantka jest dla nas blizkoznacznym wyrazem cudzoziemki, a cudzoziemka mimowoli przywodzi nam na myśl ów napływ francuzek, włoszek, niemek, które oddawna w kraju naszym czy to na tronie, czy w szlacheckiéj zagrodzie mąciły publicznym i domowym pokojem.

Jeżeli przypomnimy sobie cały zastęp francuzkich modniarek, w których ręce składaliśmy nieraz wychowanie dzieci; jeśli wspomnimy cały szereg wad i zasad wątpliwych, jakie po skończeniu takiéj edukacji odkryliśmy z przerażeniem w młodziutkich i niewinnych dotąd sercach córek; jeśli obliczymy intrygi, niepokoje, kaprysy wymagania tych modnych ochmistrzyń, pełnych zaimprowizowanego tonu i szarlatenerji, to prawie przestaniemy się dziwić, że pozostałe ztąd oburzenie, mimowolnie w umysłach słabszych rozciągnęło niesłuszne i dające się łatwo rozproszyć uprzedzenia aż do dzisiejszych naszych nauczycielek domowych.

Ale rzecz dziwna i niepojęta prawie! Upokarzające obejście, usuwanie nauczycielki do rzędu płatnych oficjalistów, dostawało się u nas przeważnie polskim tylko mistrzyniom; francuzka umié w nas przełamać dumę i przezwyciężyć wstręt jaki miewamy jeszcze do osób poświęcających się nauczaniu i kształceniu naszych dzieci; a jak zawładnąć niegdyś zdołała rycerską głową bohatera z pod Wiednia, tak i dzisiaj, lubo w szczuplejszym obrębie, potrafi zawładnąć panią domu, narzucić jéj swój sposób myślenia, wyrobić dla siebie ustępstwa, względy i zaufanie.

Zkądżeż ta różnica? Byłżeby to wstyd pokazania przed obcym, że nie szanujemy nauki i jéj krzewicieli? albo może tylko reszta zastarzałéj skłonności dla obczyzny i mody?

Bądź co bądź, niechcemy już w tym razie potrącać o szereg prawd smutnych; wolimy z pociechą powiedzieć, że jeśli przesąd, lub brak światła czyniły wam nieraz zacne nauczycielki, ujmę i wyrządzały niesprawiedliwość, za to czysta tradycja rodzinna, historyczna, wynosi was na zaszczytne i przynależne wam stanowisko. Dzieje nasze i patryarchalne obyczaje obfitują w piękne ku potwierdzeniu téj prawdy przykłady: Leszek dla okazania czci przewodnikowi swéj młodości, korony się wyrzeka; Stary król Kazimierz, wyprawiając mistrza dzieci swoich Długosza z najstarszym synem na królestwo Czeskie, mówi doń głosem, w którym drży łza o stalową odbijająca się duszę:

„Nie opuść go, Długoszu, wszak jesteś drugim jego ojcem. Jam mu dał życie, lecz ty naukę mu dałeś.”

Przodkowie więc nasi kładli ukształcenie na równi z życiem, a królewscy rodzice nie wachali się postawić nauczycieli dzieci swoich na jednéj linji z sobą, nazywając ich drugimi ojcami.

Jakżeż roztropnie z głębi wieków przemawia do nas to ich zamiłowanie nauki i światła! Bylibyśmy dziś niższymi w tym względzie? bo lekceważenie okazywane nauczającym, mogłoby być tylko nieporozumieniem zaszłem w ciemności.

Szczęściem dla nas, z chlubą potwierdzić można, że przykłady takiego lekceważenia coraz bywają między nami rzadsze i coraz głośniéj potępiane bywają.

Dzisiaj zacna nauczycielka (gdyż o takiéj tylko tutaj mówimy) znająca swe obowiązki i umiejąca im zadość uczynić, jest drugim aniołem w gromadce domowéj; a życie jéj pełne pracy, poświęcenia i wyższości umysłowéj, nie tylko na uznanie, lecz na współczucie i opiekę towarzystwa zasługuje.

Na wielkiéj drodze społeczeńskich obowiązków, nauczycielki zajmują miejsca owéj skromnéj gromadki co z południa wyszła za pokłosiem. Niema dla nich własnego żniwa, snopy śród których się kręcą, są cudze, nie do nich należy nieść wieniec pszeniczny, one tylko pomagają drugim, zbierają upuszczone kłosy, to jest: podejmują zbywające drugim obowiązki. Nie dla nich miano dziedzica, ani dola przodownicy; na wesołych dożynkach miejsce ich poza wrotami; ale dzieje ich zapisane w księgach świętych na karcie Ruthy, która pracą pokorną, promieniem miłości ozłoconą, wplotła się w królewski ród Dawida, co był na ziemi najbliższym Zbawiciela.

Lecz jeżeli na szali aniołów wiele ważą mozoły tych skromnych pracownic, sprawiedliwość ludzka, która sama jedna może być rzeczywistą równowagą świata, powinna także wziąść szalę w rękę i oddać, co im należy w uznaniu, w współczuciu, a nawet w baczności na późniejsze ich lata.

Ileż to razy widziano dziewice rozpoczynające swój nauczycielski zawód z uśmiechem nadziei na młodem czole, z świętą cierpliwością i poświęceniem w duszy. Całe młodociane natchnienie zlały w swój zawód i nie kryły przed sobą jego trudów i goryczy. Oddalone od rodzinnego zakąta, śród obcych, obojętnych ludzi, śród moralnéj pracy, bogaciły się na duszy, ubożejąc na siłach. I jakiż miał być ich los ostateczny? Zasługa i spokój w sumieniu, niedostatek i opuszczenie na lata niemocy i starości.

Duchowe owoce ich prac błyszczą umiejętnością, talentami, uczuciem na skroniach szczęśliwych wychowanek, lecz owoce materjalne rozproszyły się na drodze życia, jako haracz zwolna wypłacany codziennym potrzebom.

Jakąż mieć może na to radę społeczeństwo, które podniósłszy moralne znaczenie nauczycielki, musi przedewszystkiem uszanować jéj szlachetną dumę, ową diamentową tarczę godności człowieka?

Oto niechaj podejmie jednę z tych owocnych i dobroczynnych myśli, co zamieniona w czyn, zyskuje imię instytucji, nie obrażającéj nikogo, a zaradzającej złemu.

Chcemy tu mówić o wspólnych kassach—o stowarzyszeniach, które w innych krajach praktykowane, tyle ulgi, tyle pomocy, tyle korzyści i spokoju przyniosły stowarzyszonym. Dla czegoby nauczycielki nasze prywatne i nauczyciele, niemający innego widoku na późniéj prócz oszczędności własnéj, nie mogli tak jak to już ma miejsce w Petersburgu, utworzyć wspólnéj kassy, zarządzanéj przez ludzi specyalnych, gdzieby perjodycznie składany pieniądz, wzrastał i obracał się w potrzebie na poratowanie składających?

Ktokolwiek miał sposobność przyjrzenia się zbliska zbawiennemu działaniu takich kass stowarzyszonych, ten wątpić nie może o ich powodzeniu i u nas, gdzie taka ilość nauczycieli i nauczycielek chętnie zapewne zrzekłaby się małéj sumki na dzisiaj, byle w potrzebie znaleść ją jutro.

Posiew roztropnéj oszczędności i troskliwéj opieki, zbiera się zawsze z obfitym plonem.

Nie wachajmy się przed nim, —będzie to jeden więcéj krok do zapewnienia niezależności i ulgi tym szlachetnym przewodnikom młodości, dla których w imię oświaty i sprawiedliwości, społeczność dzisiejsza domaga się wszędzie właściwego miejsca, poparcia i uznania.

Antonina Machczyńska.

WYBRANIEC WIEKÓW.

Dzwon wieków zagrzmiał na zegarze świata...
W cichéj kołysce słychać płacz dzieciny;
Bierze je matka uczuciem skrzydlata,
I tuląc piersią śpiewa: luli syny.
Matczyną pieśnią i sercem zagrzane,
Igra dzieciątko, jako rybka w wodzie,
A cudnych kształtów marzeniem owiane,
Zasnęło, niby w edeńskim ogrodzie.
Śpi drobne dziecię, usta śmiechem stroi,
Czasami chmurka w licach mu zagości,
Lecz o czem duma, o czem w główce roi,
Nikt tego nie wie... Może o przyszłości.

Dokoła cisza tajemnicza, wielka:
Słychać jak księżyc pnie się po lazurze,
Słychać jak cała ziemia rodzicielka
Śle nocny pacierz westchnieniem ku górze.
W odległéj dali granit się rozkruszył,



Helena Modrzejewska (do Stronnicy 123-éj.)

Bo coś w przepaście z głuchym trzaskiem skacze;
To pewnie człowiek w piersi się kołacze,
Pewnie do żalu jaki duch go wzruszył.
W promieniach gwiazdy z po za mlecznéj drogi,
Szeleszcząc skrzydłem, jak zaklęte gaje,
Cherub, aniołów wiodąc poczet mnogi,
Przy śpiącem dziecku nad kołyską staje.
I jak brat brata gdy w objęcia bierze,
Jak narzeczona kochanka dziewica,
Ognistą twarz swą nachylił doń szczerze.
I drżąc z wzruszenia, pocałował w lica.
Potem dziecięciu otworzył pierś małą,
I wielkie serce umieścił mu w boku,
I skrę zapalił taką jasną w oku,
Żeby oświecić mogła ludzkość całą.
Nagle, śpiew dziwny przez aniołów chóry,
Przebudził dziecię, rwąc je do zachwytu;
Bo gdy ten orszak znów pomknął do góry,
I choć już dosiadł gwiaździstego szczytu,
Ono czarami nuty téj owiane,
Wyciągło rączki za anielskim szlakiem,



Śnieguła. (Stronnica 192-a).

W krainy cudów myślą niezbadane,
Co nieśmiertelnych wieczności są znakiem.

Chłopię na męża zakwitnęło z laty.
Pierś tak mu huczy jak wód oceany,
Chciałby uczuciem zerwać wiedzy kraty,
Chciałby by wszyscy ludzie, wszystkie stany,
Czuć z nim tak mogli jak bogowie ziemi,
Chciałby ich w niebo wznieść potężnym lotem;
Lecz kiedy wzbije się nad gwiazdy z niemi,
Ci upadają napowrót z łoskotem,
A wśród boleści widzi ze zdziwieniem,
Że duch chaosu cieszy się zniszczeniem.

On jednak wielki z rzeszą nie upada.
Łono mu kipi, więc prosto, wesoło,
Podnosi w niebo namaszczone czoło,
I idzie kędy grozi straszne biada.
I idzie z pieśnią i ze słowem w czynach;
A jeśli spotka czarny mrok bez końca,
Zgasłe pochodnie i zaćmione słońca,
To pnie się raźnie po stromych wyżynach,
Uderza w bardon, zapala kagańce,
I dnia jasnego tworzy znów posłańce.
Lecz jeszcze idzie. Serce ma niezmierne,
Jak przestrzeń z czasem; a jego źrenice,
Mogą przenikać wszystkie okolice.
Więc tam pokrzepia druhy swoje wierne,
Tam łzy ociera, jeśli kto zapłacze,
Tam o współczucie dla drugich kołacze,
Tam popękane naprawia ogniwa,
Tutaj się słowem pociechy odzywa;
Dla siebie tylko niczego nie prosi,
Czuje że w piersi ma iskrę wszechmocy;
Na własnych skrzydłach tylko się unosi,
Gardzi litością, nie żąda pomocy.
Woli roztrzaskać skroń śmiertelnym głazem,
Niżeli upaść i podnieść się—płazem.

Staruszka matka czystą łzę ociera,
I wzrok wilgotny zwraca na swe dziecię;
Nie może pojąć dla czego w tym świecie,
Ono za ludzkość kocha i umiera.

O rodzicielko, bądź błogosławiona!



Skowronek-górniczek. (Strona 192-a).

Świat za to orlę czołem ci uderzy.
Syn twój w niebiosa podnosi ramiona,
Prędzéj czy późniéj każdy mu uwierzy.
Matko, bądź dumną, obetrzyj łzy z oka,
Bo kto w promienie przybrany z wysoka,
Kto pocałunkiem świętym naznaczony,
Kto choć raz słyszał Cherubinów tony,
I rajskie wrota zobaczył w zachwycie,
Ten już do orłów nie do nas należy.
Więc jeśli syn twój, przez całe swe życie,
Do słońca tylko i nad gwiazdy bieży,
Nie dziw się matko, bo to pomazaniec,
To mistrz, kochanek duchów i Przyrody,
To wódz, którego słuchają narody,
To wieszcz, to genjusz, to wieków wybraniec.

Franciszek Gumowski.

RATUSZ W WARSZAWIE.

W starożytnych grodach do jakich rzędu liczyć się słusznie może i Warszawa, gmachy ratuszowe najczęściéj należą do najokazalszych. W nich bowiem mieściły się zwykle i w czasach obecnych zazwyczaj się mieszczą urząd municypalny, kas-

sa miejska, skarbiec i archiwum miejskie, odbywają się sądy i posiedzenia, a nawet uroczystości niektóre doroczne lub przygodne.

Wszystko więc co tylko obchodziło przeszłość, teraźniejszość i przyszłość miasta, zawierało się w ratuszu. Było to serce miasta, z którego życie rozchodziło się na wszystkie jego strony. Nie dziwić się przeto, że w dawnych czasach mieszczanie wysilali się na wznoszenie okazałych i ozdobnych ratuszów, i dziś jeszcze widzieć można w starych grodach Europy gmachy te, znakomite nieraz ogromem i architekturą.

Zadumane te o wysokich szczytach z tradycyjną wieżą górującą nad niemi i panującą zazwyczaj nad miastem całem—budowle, dziś jeszcze imponują powagą zewnętrzną, uroczystemi wspomnieniami wiążącemi się z niemi i zbiorem pamiątek, oraz przywilejów zarówno obchodzących dzieje, archeologję i sztukę.

Warszawa niegdyś posiadała kilka ratuszów, a to z tego powodu, że za obrębem właściwéj Warszawy, która nie wielki obszar zajmowała, formowały się liczne jurydyki i te starały się o prawo magdeburskie dla siebie, rządziły się więc jakby oddzielne miasteczka za pośrednictwem własnych swych wójtów i ławników.

Ratusz właściwéj staréj Warszawy do roku 1818 w którym go rozebrano, znajdował się w środku rynku Starego Miasta, był otoczony sklepami w liczbie 26 do koła, a Gołębiowski twierdzi, że był to gmach okazały, co zważywszy na szczupłość placu na którym się wznosił, wydaje się nader względném.

Nowe Miasto miało także swój osobny ratusz z wieżyczką; były także ratusze na Marjensztacie, Dziekance, Grzybowie, Lesznie, Pradze i t. d.

Gdy zaś interesa miejskie z postępem czasu skoncentrowały się w ratuszu Starego Miasta, a ten okazał się zbyt szczupłym na pomieszczenie biór doń należących, w roku 1817, nabyło miasto od Antoniego księcia Jabłonowskiego pałac stawiany przez budowniczego Merliniego przy ulicy Senatorskiéj, a dziś placu teatralnym i takowy przerobiono następnie na ratusz, który egzystował w tym stanie aż do ostatniego pożaru.

W ratuszu tym wedle relacji Gołębiowskiego, oprócz obrazów cennych pod względem sztuki i dziejów kraju lub miasta, znajdowały się nie tylko stare przywileje Warszawy, ale i różne zabytki oraz osobliwości. *)

Niedawno pod głównem kierownictwem Architekta p. Orłowskiego, wykończony ratusz na miejscu zgorzałego przed kilku laty: którego wizerunek później podamy, poprzestając obecnie na załączeniu wizerunku ratusza w stanie jego poprzednim, co posłuży do porównania zmian obecnie poczynionych wraz z wieżą zegarową i strażnicą zarazem, oraz pawilonem z prawéj strony, stanowiącym w sobie oddzielną całość architektoniczną odnośnie do gmachu głównego, od którego przedziela go owa wieża; jest gmachem zarówno okazałym zewnętrznie, jako też zasługującym na szczególną uwagę pod względem wewnętrznego swego urządzenia.

Przy budowie nowego ratusza, miano na pilnéj uwadze, zarówno cel główny jakim jest dogodne i bezpieczne na wszelkie ewentualności pomieszczenie biór Magistratu, jako też wybór środków do osiągnięcia tego celu nowożytném budownictwem wskazywanych.

Nie szczędzono też kamieni ciosowych, żelaza, cynku, cementu, asfaltu; zaprowadzono oświetlenie gazem, wodociągi posługujące tak do wygody ogólnéj, jako też w razie pożaru stanowczo ułatwić mogące ratunek i kaloryfery ogrzewające jedném ogniskiem sale biórowe. Wreszcie urządzono wentylację wedle nowego systematu.

Pod względem więc budownictwa postępowego, mającego na widoku wygodę, trwałość, sanitarne warunki i oszczędność kosztów utrzymania; dzisiejszy ratusz w Warszawie, jest jedyném dziełem w swoim rodzaju.

Że zaś gmachy publiczne stawiane wedle dawnych tradycyji, lub przerobione z budowli prywatnych, najczęściéj nie odpowiadają zupełnie wymaganiom swego przeznaczenia, a budowle prywatne w Warszawie niejednokrotnie stawiane bywają bez żadnego względu na warunki higieniczne i dogodność mieszkańców, może najdrożéj w Europie, stosunkowo do wartości, opłacających komorne; przeto dzisiejszy ratusz powinien być zwiedzany przez każdego myślącego i sumiennego właściciela nieruchomości miejskiéj: żeby też naocznie się przekonać: jak należy obecnie urządzać domy, przeznaczone na chwilowy lub ciągły pobyt ludzi, których zdrowie jest całym skarbem.

Wszakże niech nam wolno będzie uczynić tu uwagę, że zastósowanie kaloryferów w biórach mieszczących znaczną liczbę urzędników, być może niekoniecznie jest właściwém. Pracownicy bowiem przebywający znaczną część dnia w salach ocieplanych kaloryferami, żalą się zazwyczaj, że ciepło tego rodzaju jest jak to mówią suche, szkodliwie wpływające na oddychanie i bądź to skutkiem niedopilnowania palących, lub też wady urządzenia kaloryferów, albo też własności swoich sprawiające nieznośny ból głowy; co dla ludzi pracujących umysłowo, jest szczegółem nie małéj wagi.

Nakoniec, nie od rzeczy będzie powiedzieć tu słówko tym, którzy krytykują umieszczenie wieży niesymetryczne. Wielu się zdaje, że wieża tu powinna się wznosić pośrodku gmachu ratuszowego, lub z tyłu od ulicy Daniłowiczowskiéj.

Otóż słusznie powiedziano, że architektura jest muzyką w przestrzeni, a muzyka architekturą w czasie. Jak bowiem w dziele muzyczném, wszystkie części powinny harmonizować z ogółem i tworzyć z nim jednolitą całość; tak i w budownictwie, harmonja szczegółów z ogółem, powinna się zasadzać na jednostajności motywów i stylu.

Wieża więc ta, nie stanowiąca ozdoby gmachu, ale mająca specjalne a ważne przeznaczenie, nie mogła być przyczepioną doń, bez ujmy charakteru całéj budowli tém bardziéj, że wzniesieniem jéj w środku gmachu głównego, rozkład wewnętrzny

*) Nadmienić tu musimy, że obok przywilejów dla miasta, znajdują się również w archiwum ratusza, przywileje dla różnych pojedynczych korporacji, jak np. dla cechów. Sami mieliśmy sposobność oglądać ciekawe przywileje cechu rybackiego. A nadto są tu dokumenty fundacji prywatnych osób na różne cele dobroczynne, o których to fundacjach czyli *legatach*, mamy zamiar w przyszłości dać szczegółowe sprawozdanie.

(*Przyp. Redakcji*).

musiałby uledz zmianom, wielce ogólnemu planowi szkodliwym. Jako wieża zegarowa nie mogła być usuniętą z frontu. Uwzględniając przeto miejscowość i warunki nieuniknione, trzeba się zgodzić na to, że wieży téj, jako dzieła użyteczności ogólnéj, nie podobna było wznieść w inném miejscu. Zresztą jest ona imponującą i nadobną. Więc każe przebaczyć ulokowanie, które na pierwszy rzut oka, zdaje się przyćmiewać swém sąsiedztwem dostojność gmachu ratuszowego.

Aleksander Osipowicz.

HELENA MODRZEJEWSKA.

Lubię teatr! Z bijącém uroczyście sercem patrzę na zasłonę sceny; tysiąc niepokoi mnie oczekiwań, zanim ją uniosą i wprowadzą w świat zaczarowany.

Lecz cóż dla mnie jest owym zaczarowanym światem? Zapewne jak i dla was czytelnicy, nie *sztuka*, w któréj przez kilka godzin trzeba się patrzeć na ładne i brzydkie nogi, na niesłychane mnóstwo podskoków i na ciągłe uśmiechy w milczących twarzach. Lubię więc teatr, ale nie lubię baletu, chyba że mi przedstawią jaki taniec charakterystyczny, tylko nie rozciągnięty na całe godziny figlo-nożnych trudów!

Może opera czaruje mnie tak bardzo? Ha—prawda, podziwiam głos artysty lub artystki, unosi mnie śpiew piękny, przejmuje niekiedy grozą, lub każe się domyślać, jakim przemawiają głosem aniołowie; uderza mi serce po męzku, gdy zagrzmią chóry jak burza, lub gdy cichnąć zaczną jak rozhukane morze.

Podnosi się duch mój, kiedy przy wspaniałych obrazach, słyszę grom ludzkiego głosu... Zaiste, piękną może być opera; słodką, przejmującą, uszlachetniającą bywa muzyka, lecz... opera nie jest dla mnie owym uroczystym zaczarowanym światem teatru! Po kilku operach ucho przyzwyczaja się do dźwięków, które wydają się dziwnie jednostajnymi, które mogą znudzić...

A jednak lubię teatr, bo światem zaczarowanym teatru jest dla mnie dramat, komedja. Tu nie ma znudzenia, ciągła jest rozmaitość, żywość, życie i prawda. Balet i opera są wymysłem, który nie przedstawia prawdy — dramat jest wymysłem, który — zachwyca prawdą! Balet i opera mogą czynić wrażenie przez piękny układ swych „pas“ lub aryj muzycznych, przy których sprawy ludzkie odchodzą na plan podrzędny— dramat czyni wrażenie przez usta mówiącego i działającego człowieka. W balecie i operze artysta tańczy i śpiewa, tańcem i śpiewem zachwyca—w dramacie artysta bierze to, co ludzi najwięcéj obchodzi, co jest najprawdziwszem i najwięcéj zajmującem. Tańca lub śpiewu nie jeden przez całe życie nie zakosztuje, ale wypadków co mu życie zakrwawiają lub zmniejszą niedolę, nikomu nie braknie; dramat więc każdego obchodzić może.

Dla tego też lubię teatr, kiedy na nim grają dramat, bo tam pomimo że przedmiot bywa wymyślonym, jestem w obec prawdy i życia. Znajduję tam ludzi wszelkiego rodzaju, od najskromniejszego prostaczka do bohatera. Wychodzi tam na scenę człowiek cnotliwy albo nikczemny, podstępny. Ilu tylko jest ludzi szkodliwych lub pożytecznych, ilu dziwaków lub okrutników, dramat może mi wszystkich przedstawić. Po skończeniu przedstawienia dramatycznego wychodzę wzruszony, często nauczony, przepełniony litością lub oburzeniem! wszystko co tam widziałem, mogę zastósować do życia, przyjąć do serca. Tam obudzono we mnie wstręt do rzeczy nędznych, tam podniesiono pragnienie rzeczy wzniosłych i poczciwych. I tam mogę znaleść pląsy i tam mogę usłyszeć śpiewy, ale przy ludzkiéj mowie, przy obrazach prawdziwego życia. W dramacie, kobieta występuje mi nie jako figurantka lub skoczny motylek, w któréj podziwiają tylko piękność nogi albo kibici lub dzielność głosu; w dramacie widzę matki, żony, dziewice w najrozmaitszych wypadkach życia; widzę je raz jako złe i zepsute, to znowu jako anielskie istoty, zesłane na pociechę mężczyźnie. W dramacie widzę mężczyznę, nie jako aktora o potężnéj skali głosu, lecz jako króla stworzenia, który wypowiada żywym językiem wszystko, co stanowi boleść, potęgę lub szczęście człowieka.

Ażeby dobrym być aktorem w dramacie, potrzeba doskonale poznać człowieka, trzeba się uczyć odgadywać wszystko, co się dzieje w duszy, kiedy człowiek działa. Na nic się tu nie zda wyuczenie się roli na pamięć. Wyrecytowanie samo znaczy bardzo mało. Dla tego też i w dramacie mnóstwo ról dobrych przepada przez niewłaściwe ich obsadzenie. O ile to ważną jest rzeczą, ocenili już nieraz zapewne sami czytelnicy, gdy im się zdarzyło widzieć jedną i tę samą rolę odegraną przez dwóch różnych aktorów. Ze zdumieniem spostrzega się czasem, że rola na którą pierwszym razem wcale nie zwracało się uwagi, za drugim przykuwa i przywiązuje nas do siebie. I czegóż to dowodzi? oto tego, że od artysty dramatycznego, od jego pojęcia, intelligencyi i sztuki zależy prawdziwość postaci dramatycznéj.

Jak i inni ludzie, artyści dramatyczni różnie patrzą na życie; jeden ocenia wszystko powierzchownie, inny może głębiéj, ale łagodniéj, inny znowu z jakiéj śmiesznéj lub smutnéj strony i ztąd to pochodzi, że na nieszczęście, i w sztuce dramatycznéj trudno o dobrych artystów — aktorów.

Z zapałem przeto witamy wszelkie zjawisko wyższego talentu. A po tém wszystkiem, cośmy już powiedzieli, nie trudno pojąć myśl naszą, że pod nazwą *wyższego talentu*, rozumiemy dar *najumiejętniejszego przedstawiania ludzi.* Mało jest przywdziać odpowiedni ubiór i odpowiednio scharakteryzować powierzchowność; mało jest grać rolę prostaczka lub arystokraty, pasibrzucha lub chciwca, za pomocą wypowiedzenia słowa utworu. Powierzchowne przedstawienie sprawia to, że pamięta się tylko śmieszną lub posępną figurę, zapominając o znaczeniu jéj w dramacie. Rzecz najtrudniejsza, aby z każdego charakteru, z każdéj karykatury lub postaci poważnéj, przeglądał człowiek prawdziwy, aby z pod peruki, przyprawnéj brody lub pomalowanéj twarzy, błyszczało oko rozumu, duszy, siły wewnętrznéj, oko któreby przyciągało widzów i wpajało im wyrazem twarzy to, co mówią usta i co przedstawiają ruchy.

Otóż jak na świecie, nie wiele jest ludzi

z wyższym poglądem, tak i między artystami dramatycznymi, nie wiele jest osób z *wyższym talentem*. Na szczęście jednak znajdzie się ich zwykle choć kilka na większych scenach, tak jak my dzisiaj posiadamy naprzykład: Królikowskiego, Żółkowskiego, niedawno ubyłego Rychtera, Palińską, Bakałowiczową. Rozumie się że i w tych osobach rozróżnia się stopień i rodzaj talentu.

Ale najtrudniéj z kobietami. Między niemi trudniéj o artystkę pierwszorzędną. Przyczyna tego zdaje się być widoczną. Kobieta zwykle późniéj wstępuje w życie niż mężczyzna, a choć nawet wstąpi wcześnie, to jeżeli z pod opieki domowéj wychodzi,— nie może się często odważyć na przestąpienie progów niektórych, na zwiedzanie takich miejsc, takich towarzystw, na uczestniczenie w takich rozmowach, w takich naukach, w takich zdarzeniach, w których mężczyznom droga otwarta i swobodna. A naturalnie, że chcąc poznać dobrze ludzi, trzeba ich widzieć w każdéj sferze życia, czasem w ich nagości. Ztąd pochodzi, że kobiecie trudniéj poznać życie niżeli mężczyznie, trudniéj o tę siłę, jaką zyskuje mężczyzna przez ciągłe ścieranie się z ludźmi,—że artystce ciężéj przychodzi nabycie swobody w rolach *nie salonowych* lub w rolach wychodzących po za obręb życia domowego.

Z tego to powodu żeński personel teatralny w zakresie sztuki dramatycznéj, mniéj nam zwykle przedstawia pierwszorzędnych artystek niż męzki.

Dwadzieścia blizko lat upłynęło od ustąpienia p. Halpertowéj, a jednak imię jéj znajdowało się zawsze na ustach ogółu, znajdowało się dla tego tylko, aby wyrażało żal, że go dotąd inne imię nie zastąpiło. — Wspomnienie o Ledóchowskiéj także nie zamarło jeszcze. Panna Moroz (późniejsza p. Zielińska), panna Ciemska (późniéj Ziemińska), które się o tę szkołę otarły, nie zastąpiły ubytku swych nauczycielek.

Dzisiejsze artystki: jakkolwiek stanęły dosyć wysoko w uznaniu powszechném, nie zdołały dobić się do stopnia sławy, którą jaśnieje talent porywający. Wyższe ich zdolności, nie dozwoliły im jednak wydobyć się z jednostronności w pojmowaniu rol, co jest najlepszym probierzem talentów scenicznych. Tym sposobem scenie naszéj brak takiego personelu żeńskich talentów, jaki posiadamy z artystów męzkich.

Ale nareszcie brak ten został zapełnionym przez przybycie na naszą scenę pani Heleny Modrzejewskiéj. Nie ma już dzisiaj przeszkód w przedstawieniu choćby najpodnioślejszéj sztuki. Dramy Szekspira i innych genjuszów mogą teraz ukazać się oczom publiczności, jak się już i ukazały niektóre, mogą liczyć na to— że kobiety tych dramatów znajdą godną przedstawicielkę w pani Modrzejewskiéj.

Czy w szacie możnéj niewiasty, czy rozpłomienionéj kochanki,— czy skromnéj panny, albo rzymianki, pani Modrzejewska ukazuje się zawsze kobietą, przedewszystkiem o silném i bardzo delikatném uczuciu; kobietą, która umie podnieść się do potężnego zapału i przemawiać głosem pieszczotliwym, jak zefir szeleszczący koronami kwiatów.

Pani Modrzejewska posiada to uczucie ludzkiéj godności, które pozwala jéj w królowéj lub możnowładczyni dopatrzeć i przedstawić strony prawdziwie niewieście i które z rol spokojnych lub naiwnych—czyni role podnoszące się do świętości.

Jesteśmy pewni, że z równąby jéj łatwością przyszło przedstawić Szekspirowską Desdemonę, jak i pasterkę o arkadyjskim uśmiechu.

Pani Modrzejewska nie zdaje się mieć upodobania w rolach jednego jakiegoś obranego rodzaju. Talent jéj przedewszystkiem jest różnostronny, wystarczający na grę wszelkich uczuć, nie tak jak talent jéj towarzyszek, którym wygodnie, swobodnie i dobrze albo w rolach przeważnie płaczliwych, albo w podskokach o fałszywéj niewinności subretek.

Jeżeliby pani Modrzejewskiéj najlepiéj przyda-

(Patrz Dodatek).

HUMORESKA.



(Flora—piękność Reńska).

STARY ŁOBUZ (czytając afisz).

— Ki djabli z taką pięknością. Cóż też te Miemcy nie wymajstrują! A to kiep wieloryb przed tą Florą. No, no, powiadają, że na piersiach stawiają jéj tacę z kawą, bo inaczéj nie może jeść.— A bodaj cię kaczki zdeptały. A nogi, a ręce, a...... Tfu do licha, nic nie robi, tylko je, pije, śpi, pokazuje się i za to jéj płacą. Mój Boże i człowiek przecież nie ułomek, a nikt mi darmo nie kupi nawet kufelka piwa.

Dodatek do Nru 12go Opiekuna Domowego 1870 r.

wały role głównie spokojne (choćby najgłębsze), to dla tego chyba, że z natury nie ma ona silnego organu głosu, jakiego wymaga niekiedy uniesienie, albo moc przedstawianego charakteru. Czasem bowiem i kobieta umie zagrzmieć potężném słowem, pozwłaszcza kobieta, która z uczuć, przyzwyczajeń i celów, straciła już miękkość kobiecą. Takim głosem przemawiała niekiedy królowa Elżbieta, z wielkiem przedstawiana powodzeniem w jednym z dramatów przez panią Ristori [1]).

Ale jeżeli pani Modrzejewska nie rada rzucać się i szaleć przerażającemi uniesieniami, to nie dla tego, aby nie mogła się wznieść do takiéj potęgi, lecz dla tego, że ją to bardziéj forsuje. Nie można jéj bowiem odmówić téj siły ani w tragedji „Romeo i Julja" ani w komedjo-dramie p. t. „Adryanna Lecouvreur". W téj ostatniéj sztuce umie być przerażającą i umie być zachwycającą. Przy deklamowaniu bajki o dwóch gołąbkach, pani Modrzejewska dochodzi do takiéj doskonałości w wypowiedzeniu prostych i naiwnych rzeczy, że porywa tą na pozór drobnostką tak samo, jak i najświetniejszą sceną.


Krzywodziób v. Krzywonos. (Stronnica 129-a.)

Głos pani Modrzejewskiéj posiada pewien odcień pieszczotliwości, co sprawia, że pieszczotliwość ta, która łatwoby mogła stać się wadą, utrzymuje się na szczęście w granicach i niekiedy pomaga jeszcze do wybitniejszego wyrażania się, do czynienia z wyrazów pewnych kunsztownych dźwięków, pełnych powabu.

W talencie swoim pani Modrzejewska łączy dwie ostateczności: ten powab, tę elegancję, kunsztowność słów i siłę tragiczną. Prawda, że chętniéj skłania się ku pierwszemu rodzajowi, ale bynajmniéj powiedzieć nie można, aby nie była artystką pierwszorzędną w rolach czysto dramatycznych, pomimo że ma tu rywalkę poważną—panią Palińską.


Sitko do herbaty. (Stronnica 131-a.)

Pani Modrzejewska rozpoczęła swój zawód od scen prowincjonalnych w Galicji; ostatniemi zaś czasy należała do trupy Krakowskiéj, zkąd przeszła na naszą scenę.

Za przybyciem do Warszawy wystąpiła, o ile pamiętam, najprzód w komedjo-dramie pod tytułem „*Adryanna Lecouvreur*" napisanéj przez Eug: Scribe i Legouvé. I nie można nic powiedzieć przeciwko obraniu téj sztuki na pierwszy występ przed naszą publicznością. Przedmiotem jéj jest, jak zapewne wielu czytelnikom naszym wiadomo, miłość znakomitéj lecz skromnéj i poczciwéj artystki teatralnéj francuzkiéj, posiadającéj duszę wielką, pełną czystości i uczucia. Adryanna podczas napaści na nią czterech wisusów, spostrzegła młodego obrońcę, który ich zmusza do ucieczki. Od téj chwili zapala się jéj miłość, na którą dzielny kochanek takąż odpowiada miłością. Ale, że jak jéj sam powiedział, należy on do wojowników Maurycego Saskiego, znakomitego wówczas wojownika, który bawił na dworze francuzkim i wybierał się po koronę pewnego księztwa, opuszcza ją więc na parę miesięcy. Otóż od powrotu jego, zaczyna się właściwie dramat. Z wizyty, jaką oddaje księżnéj de Bouillon Maurycy Saski, widzowie przekonywają się, że owa księżna była jego kochanką, lecz że on ją przestaje kochać dla innéj, co też jéj otwarcie powiada. To wzbudza potężną zazdrość księżnéj, która chce wyśledzić szczęśliwą rywalkę i nareszcie po różnych przejściach, w których o mało sama nie wpada w pułapkę, przekonywa się, że ukochaną Maurycego Saskiego, jest nie kto inny, jak biedna artystka Adryanna Lecouvreur, a ta się znów dowiaduje, że owym biednym jak mniemała żołnierzem, jest sam bohater Maurycy. W skutku tego, przy spotkaniu się dwie te kobiety uderzają jedna na drugą, a chociaż tylko słowami, walka ta jednak jest jakby krwią napojona; tyle tam gniewu, zazdrości i chęci zemsty. Wreszcie Adryanna deklamując wiersz umyślnie dobrany, przybiega prawie do oczu księżnéj, niby w zapale wymowy i do niéj kieruje hańbiące wyrazy. Ostatni akt stanowi znowu zemsta księżnéj, przysyłającéj Adryannie przez nieznanego człowieka bukiet, który ta, po powrocie z wyprawy, dała swemu nieznanemu jéj wówczas z godności i sławy Maurycemu. Bukiet był zatruty przez księżnę i o śmierć przyprawił Adryannę, która umiera szarpana ponętami życia dla miłości i męką, jaką jéj przyczynia trucizna.

Widzi tedy czytelnik, że mnóstwo tu może zachodzić scen i wypadków prawdziwie dramatycznych—uczuciowych. W pewnéj rozmowie Adryanna pyta się Maurycego: o różne drobne dla świa-

[1]) Nie jestto dramat p. t. Marja Stuart w którym Ristori gra rolę Marji; w dramacie o którym mówimy, artystka ta przedstawiała rolę Elżbiety. (*Przyp. aut.*)

ta, ale wielkie dla zakochanych rzeczy, jak np. czy czytał bajki Lafontaine'a, których egzemplarz podarowała mu przed jego wyjazdem? On odpowiada, że nie czytał, co sprawia jéj jakby przykrość i skłania do wypowiedzenia bajki o dwóch turkawkach. Ta właśnie scena i ta deklamacja, pełna cichego, choć szczebiotliwego nastroju, są istnym tryumfem pani Modrzejewskiéj. Każdy z widzów słuchając ją wtedy, chętnieby przyznał, jak czyni i Maurycy, że to w jéj ustach lepiéj wygląda jak u Lafontaine'a.

Daléj, najwybitniejszemi scenami są: rozmowa z księżną w akcie czwartym i z Maurycym przed śmiercią. W scenach tych, jakaż różnica, jakże to daleko do owych turkawek! Tu grają uczucia burzliwe, namiętność, która mija granice, tu spotykają się dwie nienawistne kobiety. Ze zdumieniem poglądają widzowie, jak skromna, luba dziewica; zmienia się nagle w osobę potężną, zaćmiewającą wszystkich i podnoszącą swoim blaskiem nawet bohatera, który w téj chwili, choć tego nie wyjawia, postanowił być jéj mężem. I znowu, ileż żalu, ile obłąkania, ile okropności, ile wielkości w pożegnaniu Adryanny! Pani Modrzejewska może zapewne znaleść wiele ról, w których jaśnieje, ale rzadko roli, którąby tak różnostronnie przedstawiała jéj znakomity talent.

Dla téjże saméj przyczyny, załączamy jéj portret, wyobrażający artystkę w roli Adryanny. U nas przedstawiają tę sztukę z niektóremi zmianami.

Inne sztuki nie mają w sobie tyle różnostronności. Oto naprzykład rola Anieli w „*Ślubach panieńskich*",—w komedji Aleksandra hrabiego Fredry, chociaż jest wyborną w zadaniu, przedstawia tylko spokojną, naiwną panienkę, która jeszcze nie wié, co to potęga serca i miłość wzajemna, i późniéj dopiero budzi się pod wpływem miłości mężczyzny, porzucając wszelkie dawniejsze śluby unikania mężczyzn. Rola ta dla miernéj artystki jest bardzo niewdzięczną, chociaż główną, bo trzeba niezmiernego przejęcia się nią i zrozumienia wybornego myśli genjalnego autora, aby niewpaść w pospolitość, w banalne dąsy i uśmiechy. Rzecz tu najtrudniejsza w stopniowaniu uczuć coraz rosnących i nareszcie rozrywających zapory narzucone. Pani Modrzejewska wywiązała się i z téj roli mistrzowsko, a rozmowa jéj w akcie czwartym z Gustawem, gdzie przyznaje się do miłości, gdzie ją poczuwa w sobie i mówi pod jéj wpływem, wzruszając się i jakby pieszcząc obrazy, odnoszące się niby do innéj kobiety, rozmowa ta za całą starczy sztukę. Widzi tam czytelnik grę uczuć, mowę duszy, wnętrze serca kobiety.

W innych sztukach pani Modrzejewska równe ma powodzenie. W dramacie „*Narcyz*", przedstawiając panią de Pompadour, dowiodła: że bada naturę kobiety na wszelkiem stanowisku. Zdołała ona i tutaj przedstawić siłę i władzę, jaką przybiera kobieta, kiedy bez przygotowania i przymiotów odpowiednich, staje się potężną, kiedy tylko przez gładkość rysów i intrygę trzęsie tymi, którzy rządzą narodami.

W sztuce pod tytułem „*Panna de Belle-Isle*", scena, w któréj nie mogąc przedstawić dowodów swojéj niewinności, dziewica usiłuje o niéj przekonać kochanka, a późniéj scena, w któréj widzi się haniebnie potępioną i toczy walkę między chęcią uniewinnienia się, a obawą złamania przysięgi, należą do tych chwil szczytnych, w których słuchacz przykuty do miejsca, przejęty do głębi duszy, z namaszczeniem podziwia artystkę.

Obecnie występuje pani Modrzejewska w tragedji Szekspira „*Romeo i Julja*". Któż nie wié o losach tych dwojga kochanków, których miłość wpędziła do grobu w rozkwicie młodości? Szekspir wziął tu sobie za zadanie przedstawić miłość jako uczucie w pewnéj chwili życia, górujące ponad wszystkiemi innemi uczuciami i dla tego téż wybrał na bohatérów młodzieńca i dziewicę, którzy zaledwie rozkwitnąwszy, już się znaleźli w objęciach. Szekspir chciał w téj tragedji pokazać, jaką jest miłość, jeżeli *nic nie mogło jéj powstrzymać*— ani mury, ani straże, ani sztylety, ani odwieczna nienawiść dwóch rodzin; jaką jest miłość, jakie są jéj słowa, jéj uniesienia, jéj rozkosze i nadzieje, jéj cierpienia — obawy i siła poświęceń. Romeo przemawia z prostotą a szczytnie, bo ta prostota gotowa jest śmiercią stwierdzić swoje słowa. Julja, dziecię rozkwitające, staje się kobietą, dla któréj wszystko na ziemi jest czemś mgławem i nikłem w obec wielkości kochanka.

Jest to więc druga sztuka, jak się domyśla czytelnik, gdzie pani Modrzejewska z takim zasobem uczuć i pojęcia rzeczy, z jakim ją poznaliśmy, może rozrzucać swoje czary na słuchaczy. To też każde przedstawienie Romea i Julji, napełnia Teatr Wielki od góry do dołu. I uroczy panuje zachwyt między słuchaczami, kiedy głos znakomitéj artystki zabrzmi swemi srebrnemi dźwięki w roli Julji, z balkonu, z którego ona posyła ku ukochanemu swoje uniesienia. Słowa te mają jakiś powab woni w lasach dziewiczych, są ogniste i śmiałe a czyste i cudownie lube, jak wszelkie rzeczy święte. Bo miłość, kiedy ma za przedmiot serce, jest świętą, jest boską.... potężną do tyla, że u tak młodych i świeżych dusz jak Romea i Julji, przemaga wszystkie inne uczucia i może je w grób wtrącić. Otóż najpierwszem zadaniem téj tragedji, było pokazanie ludziom, ile szanować powinni święty związek serca, a nie tłumić miłości, jeżeli ona nie wchodzi na drogę hańby lub zepsucia.

Krótką więc tylko daliśmy czytelnikom wzmiankę o sztukach, w których występuje dzisiaj pierwsza nasza artystka; niepodobna jednak było uczynić inaczéj, gdyż rozbiór sztuk tylu, dalekoby nas zaprowadził.

Niniejszym artykułem chcieliśmy tylko tym z czytelników, którzy pani Modrzejewskiéj nie widzieli, ujawnić stanowisko, jakie na scenie naszéj zajęła i role które przedstawia.

Widzieliśmy, że działalność jéj nie da się ograniczyć w jakimkolwiek wyłącznym kierunku, bo artystka ta, jak dotąd, każdéj z różnorodnych rol swoich podołać umiała. Będąc osobą młodą i myślącą, nie daje się opanować rutynie. Komedja i dramat stoją dla niéj otworem.

Być może: iż pani Modrzejewska nie we wszystkiem zadowalnia, być może są sceny, są charaktery, które inaczéj lub silniéj mogłyby być wykonane, tembardziéj że każdy prawie inaczéj patrzy na sztukę; nie wchodzimy jednak w to teraz i ograniczamy się na wyjawieniu radości, że wreszcie scena tutejsza doczekała się w rolach kobiecych talentu, który godnie stanąć może obok talentu Królikowskiego. *Józef z Mazowsza.*

ROZMOWA NA STACJI W SKIERNIEWICACH.

(PRAWDZIWA POWIASTKA).

Pan Hipolit miał szczęście posiadać żoneczkę która go nazywała Polutkiem i nieszczęście, że go za nos wodziła do tego stopnia, że pewnego pięknego poranku nie wiedząc kiedy i jak ujrzał się zaprowadzonym przez nią aż do Paryża.

Że zaś poczytywał się za ofiarę samowolności swéj pani, nic więc dziwnego, że niechętném spoglądał okiem na stolicę Francji i wszystko co się w niéj działo, a w myśli ciągle macerował przekonanie, że za kilka tysięcy złotych straconych na ten wojaż, w edukacji dziatek możnaby było wiele dobrego przyłożyć.

Nic też dziwnego, że z nieudaną satysfakcją wracał do kraju; ale zadowolenie to łączyło się z melancholją, malującą się na jego twarzy wyrazem zgryzot sumienia człowieka, który wbrew rozumowi, kapitalnego głupstwa się dopuścił.

Pani Hipolitowa za to była rozpromieniona. Widziała nowożytny Babilon, stolicę mód—Paryż. Stała się więc osobą znakomitą, wywyższoną nad tłumy marzące o Paryżu, a do ujrzenia go nie posiadające ani środków, ani dowcipu, ani rozumu.

Gdy tymczasem ona w zaoszczędzonym przez Polutka groszu na cele rodzinne, środki na to; a w swéj głowie dowcip na zniewolenie męża do wydania téj oszczędności na ten wojaż; i rozum na stłumienie wszelkiéj z jego strony opozycyi w téj mierze, znalazła.

Podwójnie była szczęśliwa, skłoniła bowiem męża swego pomimo oporu i przytoczonych racji do popełnienia głupstwa — to jest *postawiła na swojém*, jak to w języku żon rezolutnych mówić się zwykło—i była w Paryżu.

Od wszystkich więc żon nie umiejących lub nie chcących mężów swych za nos wodzić i stawiać na swojém, i od wszystkich kobiet które nie oglądały Paryża, stała się wyższą.

Wracała też do domu zadowolona niesłychanie i siedząc przy melancholicznym Polutku w wagonie, marzyła o furorze jaką sprawi swém zjawieniem się w znanych sobie towarzystwach, i układała w myśli opowiadanie wrażeń podróży à la Dumas ojciec, w trzech częściach z prologiem i epilogiem. Nawet zamierzała wrażenia swe opisać prozą do Tygodnika Illustrowanego, a mową bogów do Bluszczu.

Pilno też jéj było dostać się do Warszawy, żeby ogrom sensacji nagromadzonych podczas wojażu, wyłonić przed zdumionym światem: na pociechę i zbudowanie tak obecnych czasów, jako też i potomnych.

Polutek z téj racji poważył się uczynić uwagę swéj żonie, że nie ma czém się tak dalece ani cieszyć, ani chwalić, gdy lada kupczyk w tych czasach zagląda do Paryża, a zupełnie przez to ani jego osobistość, ani społeczeństwo splendoru nie zyskują.

— Zdanie człowieka płaskiego sposobu myślenia i nic więcéj! ozwała się na tę uwagę pani Hipolitowa, mierząc wzrokiem pełnym wzgardy swego potulnego małżonka.

— A chcesz, to powiem ci jeszcze jedną rzecz mój kochany? po chwili milczenia zawołała.

— Pewno nowe jakie brutalstwo? odparł Polutek z miną człowieka rozciągniętego na torturach.

— Brutalstwo! co za wyrażenie! fi! ale miałam ci powiedziéć to tylko mój panie, że na tobie ani znać nawet żeś był w Paryżu, a wiesz dla czego?

— Nie ciekawym.

— Nie ciekawyś? mniejsza o to, ale to mi nie przeszkadza przypomnić ci owe przysłowie: że i w Paryżu z owsa nie zrobią ryżu! rozumiesz?

— Aż nadto: to znaczy że kto do Paryża wyjeżdża niedorzecznym, wraca do domu jeszcze niedorzeczniejszym. Rozumiesz?

— Proszę cię milcz, bo wezmę i zaraz wysiądę z wagonu.

— Kiedy wagon zamknięty, a pociąg się nie zatrzyma dla twego kaprysu, ironicznie zauważył Polutek.

— To wyskoczę oknem!

— Za małe, nie przeciśniesz się, a więc poczekaj chwilkę, Skierniewice niedaleko, będziesz mogła wysiąść.

— Brutal!

— Otóż i Skierniewice, chwała tobie Panie.

— Ha!

— Tylko nie unoś się, bo ludzie na nas patrzą przecie, pamiętaj że wracasz z Paryża.

— Pociąg w téj chwili zatrzymał się, podróżni tłumnie zaczęli wydobywać się z wagonów, i naszych para gołąbków znalazła się na platformie oko w oko z rodziną sobie znajomą, wracającą z Warszawy, w okolice Częstochowy.

Rodzinę tę składali państwo Józefostwo i dwie dorosłe ich córki.

— Witamy, witamy, witamy drogich naszych wojażerów! zawołała pani Józefowa słodkim i rozrzewnionym głosem, zbliżając się do pani Hipolitowéj z wyciągniętemi ramionami. Z kolei dwie córy pani Józefowéj padły w objęcia pani Hipolitowéj, poczém otarły sobie z oczu łzy rozrzewnienia, jakie przelać poczytywały się w obowiązku z powodu tak wzruszającéj sceny.

— Z Paryża! z Paryża! mruczał z nietajoném szyderstwem p. Józef, przypatrując się pani Hipolitowéj, która starała się utrzymać charakter damy wielkiego świata, wracającéj ze stolicy mód.

Pani Józefowa zgromiła wzrokiem swego małżonka i biorąc pod rękę wojażerkę, cedziła przez zęby wyrazy:

— No i jakże? wojaż się udał? widziałaś świat, widziałaś ludzi! ludzi widziałaś! no powiedzże nam, jakie też wrażenie wywiozłaś z Paryża? przeczuwam że błogie — tak, tak — błogie wrażenie — ach ten Paryż, ten Paryż!

— Pojmiesz to bardzo dobrze moja droga, że nie mogłam innego wywieźć ztamtąd wrażenia. To co ktoś powiedział o Neapolu: że widziéć go a późniéj umrzeć; a ktoś inny daleko trafniéj dodał, że ujrzeć go a dopiero żyć zacząć — sprawiedliwie tylko do Paryża dałoby się zastósować.

— Szczęśliwa! jęknęła pani Józefowa zakrywając sobie oczy chustką. Szczęśliwa! szczęśliwa, szepnęła następnie z miną człowieka żywcem zasypywanego w ziemię.

Dwie córy pani Józefowéj, jednocześnie zaczęły przelewać łzy obfite — a ojciec ich rzekł do pana Hipolita:

— I ty Polutku także jesteś szczęśliwy? Winszuję, ale nie zazdroszczę.

— Mężu, jęknęła jego połowica podziemnym głosem—mężu!

— A szczęśliwym jak widzisz! odparł Polutek, a jego pani chwytając wątek przerwanéj rozmowy, zawołała z wyraźną tendencją.

— Ach co za ludzie, co za ludzie ci Paryżanie! jaka grzeczność dla dam, co za wykwintne obejście się, jaka szlachetność! Patrząc na nich zdaje się człowiekowi, że się przeniósł gdzieś w górne krainy, w których nieznana trywjalność żadna, nie słychać o żadnéj rubaszności, a tém bardziéj o żadném brutalstwie!

— Ach! pojmuję cię mój aniele, jęknęła znowu pani Józefowa.

— Na dowód przytoczę ci jeden tylko fakt, ciągnęła wojażerka wpadając w coraz większy zapał. Imaginuj sobie, jedziemy z Polutkiem do Hawru. W naszym wagonie zaobserwowałam przystojnego bardzo mężczyznę, siedzącego w kąciku z kapeluszem na brwi nasuniętym i pogrążonego w jakiéjś poetycznéj zadumie. Ach jaki był smętny, jaki smętny! Połowę życia oddałabym za to, żeby wiedzieć o czém dumał. Od razu poznałam że to cóś niepospolitego! że to jakaś znakomitość!

— A rzeczywiście znakomitość! wtrącił Polutek, ale jego małżonka nie raczyła nawet zauważyć słów tych, i zamilkła tylko dla nabrania tchu—korzystając z tego p. Józef zagadnął:

— I cóż to za znakomitość była?

— Zaraz się dowiesz, odparł p. Hipolit głosem znaczącym, a wojażerka ciągnęła swą orację w te słowa, gdy pani Józefowa w niemém uwielbieniu patrząc jéj w oczy, chwiała miarowo głową swą, niby w takt jakiéjś nadziemskiéj muzyce.

— Otóż tedy dążym do Hawru, ja oka nie spuszczam z zajmującego i tajemniczego owego człowieka, gdy nagle rozlega się jakiś huk okropny, wagon chwieje się, a podróżni krzyczą: „w przepaść lecimy!“ Co się w tedy zemną działo, możesz sobie imaginować, ale wierzaj mi moja droga, iż pierwszą moją myślą w owéj chwili było, dla czego nie ma ciebie ze mną mój aniele, żeby dzielić społem wrażenie tak rzadkie w życiu ludzkiem?

— Jakżeś dobra! jak zacna! jak miła moja przyjaciołko, zawołała pani Józefowa zalewając się łzami. Jakże ci wdzięczną jestem za twą pamięć! Ależ kończ! więc tedy rozlega się huk, lecicie w przepaść, Boże! jakże to przyjemnie... no i cóż daléj?

— Lecimy w przepaść, trwoga, zamięszanie, krzyki, rozpacz, nie wiem co się ze mną dzieje, jestem blisko zemdlenia; w tém—ów śliczny młodzieniec, porywa mię w swoje objęcia, wynosi z wagonu i składa na murawie —poczem kłania mi się z gracją nie do opisania, i oddala się — a ja, ja, przeprowadzam go wzrokiem, myśląc sobie: o gdyby wszyscy mężczyzni byli do niego podobni.

— Upadam do nóg! zaprotestował p. Hipolit, a p. Józef rzekł do wojażerki:

— Jakim że sposobem mógł ów Kupido wynieść panią z wagonu, kiedy wagon leciał podówczas do przepaści?

— Mężu! mężu! zastanów się przecież, krzyknęła z oburzeniem żona pytającego.

— Pociąg zatrzymał się nad brzegiem przepaści, więc można było ratować ginących, odparła zagadnięta z dostojną miną człowieka niewłaściwie prześladowanego od ludzi.

— A więc był to ratunek zbyt łatwy, lub zbyteczny zupełnie! śmiejąc się mówił p. Józef, a Polutek wtrącił:

— Podczas tego ratunku zginął żonie zegarek złoty, nie umiem sobie wytłómaczyć jakim sposobem.

— Zwyczajnym bardzo, odczepił się z agrafki i gdzieś upadł lub zdeptanym został.

— No a ten młodzieniec, czyż nie dowiedziałaś się kto on był? zapytała pani Józefowa.

— Kto on był? nie omyliłam się bynajmniéj że to był człowiek znakomity. Nazywał się Morys!

— Morys! mój Boże, jak to pięknie brzmi — zapewne poeta? artysta? wojażer?

— Ani się domyślasz moja droga. Był to słynny morderca, który zarznął swego najlepszego przyjaciela. Czyż nie słyszeliście nic o sprawie Godarda? zamordowany nazywał się Godard.

— A więc to był prosty zbójca ten znakomity młodzieniec, którego pani tak wychwalasz? ozwał się p. Józef mierząc naratorkę wzrokiem przeszywającym.

— Ależ to znakomitość mój panie, znakomitość! krocie fotografji jego rozprzedawano w Paryżu—w każdym albumie mają tam jego portret. Morys był to człowiek jeden z tych, co to nic wpołowie nie robią, takich ludzi tylko my kobiety umiemy ocenić.

— Ach prawda! zawołała pani Józefowa, a wojażerka ciągnęła:

— Kochał się w damie wielkiego świata i był tyle szlachetnym i zacnym: że podczas śledztwa sądowego nie wymienił jéj nazwiska!

— Ach co za szlachetność! wtrąciła pani Józefowa roniąc łzy uwielbienia.

— A dopuścił się zbrodni dla niéj tylko, bo chcąc zbliżyć się do niéj, użył na ostentację swoją 60,000 franków danych mu w komis przez Godarda i musiał późniéj pozbawić go życia z tego powodu—i to wszystko dla niéj! Trzebaż mieć szczęście do wszystkiego na świecie jednakże! mówiła pani Hipolitowa.

— Szczęśliwa! jęknęła pani Józefowa — a p. Józef na to, głosem wzburzonym do najwyższego stopnia:

— A to co znowu takiego? do czegóż to doszło na świecie? unosisz się pani nad złodziejem i zbójcą jak nad bohaterem jakim? nazywasz kobietę która była kochanką złodzieja i zbójcy szczęśliwą? i po to jeździłaś pani do Paryża? po to tylko?

— Polutku! ten pan zapomina się! rzekła wojażerka do swego męża.

— Ten pan ma rację, a ja zdanie jego podzielam i wstydzę się za ciebie.

— O nieba! cóż to im się dzisiaj stało? jęknęła pani Józefowa, tuląc się do wojażerki.

Wojażerka tocząc obłąkanym wzrokiem, była już bliska zemdlenia, gdy ją zelektryzował znowu głos p. Józefa.

— A ja powiadam pani, że każdy złodziej i morderca jest zbrodniarzem a nie żadnym bohaterem, zbrodniarzem zasługującym na najgłęb-

szą pogardę i potępienie, ale nie na zajęcie się nim, tém bardziéj ze strony kobiet.

— Swięta prawda! dodał Polutek, a jego małżonka chwiejąc się na nogach; szeptała zawracając białkami jak obłąkana:

— Gdzie jestem? czy w jaskini zbójeckiéj? czy w kraju ucywilizowanym?

— Uspokój się pani, błagały córki państwa Józefostwa, dopomagając swéj matce, podtrzymywać upadającą wojażerkę — uspokój się pani! błagamy cię!

— Uspokój się moja przyjaciołko! powtarzała pani Józefowa.

A wojażerka przytknąwszy palce prawicy do czoła i wlepiwszy wzrok w ziemię, powtarzała zagrobowym głosem:

— Czy to sen jaki okropny? Czy już jestem na tamtym świecie i dostałam się do piekła?

W tém rozległ się sygnał, podróżni ruszyli do wagonów, a pan Józef uprowadzając swe kobiety, na odchodném dodał osłupiałéj i wspartéj na ramieniu męża wojażerce:

— Moje kobiety nigdy nie pojadą do Paryża —i tak już dosyć skorzystały z prelekcji pani— obowiązany sługa.

— Ma rację! mruknął Polutek.

Dzieje nie wspominają czy rzeczywiście małżonka uszczypnęła go w ramię gdy te wyrazy wymawiał—ale to jest rzeczą pewną, że syknął w téj chwili i drgnął jakby go żmija ukąsiła.

Zygmunt Gawarecki.

ZIMOWI GOŚCIE.

Zima w całéj sile swojéj owładnęła naturą. Zamarzłą ziemię zalegają głębokie śniegi; gruba warstwa lodu pokrywa wody. Wiatr północny z szumem i świstem napędza śnieżną zamieć; a kiedy słońce bladem na ziemię spojrzy obliczem, to wówczas zamiast udzielić upragnionego ciepła, powiększa jeszcze siłę mrozu. Przy słabym blasku jego promieni, krążą miliony zlodowaciałych cząsteczek powietrza, niby iskierki brylantowym migające ogniem. Po lasach i sadach, przejęte zbytniem zimnem pękają drzewa, wydając od czasu do czasu, łoskot do wystrzału podobny. Ptaszęta cisną się do mieszkań ludzkich, aby znaleść odrobinę żywności i osłonę przed dojmującą surowością mrozu. Nie odmawiajmy im gościnnego przytułku na naszych tokach i gumnach. Biedne stworzonka! niejedno z nich wycieńczone głodem, przejęte zimnem, nieujrzy już wiosny i znajdzie zgon przedwczesny na chłodném posłaniu śniegu.

Lecz kiedy ostre zimy nasze tak są ciężkie do zniesienia dla ptasząt stale u nas przebywająch; to dla tych które mieszkają w odległych, do bieguna północnego zbliżonych krainach; wydawać się muszą porą umiarkowaną a nawet łagodną. Wtenczas to bowiem z okolic bardzo dalekich, wiecznemi lodami okrytych; zbytnią ostrością powietrza lub też zupełnym niedostatkiem żywności zmuszone, przylatują do nas w goście, tak zwane *Śnieguły*, *Skowronki-Górniczki* i *Krzyżodzioby*[1]). Warto się z niemi zapoznać, kiedy z tak daleka przybyły, aby ożywić nieco posępną jednostajność naszych pól i lasów, obfitym zasypanych śniegiem.

Śnieguła ,,Żelazistego a białego pióra"

,,Od barwy rzeczon, iż pióra białego

,,Ten ptak nielękliwy śniegu zimnego", jak go opisuje Cygański, dawny nasz, bo jeszcze z XVI-go wieku autor *Myślistwa ptaszego*. Przepędza lato w krajach przybiegunowych: w Laponji i północnéj Syberyi; do nas przybywa w porze zimowéj na dwa lub trzy miesiące; zwykle od połowy Grudnia do Lutego, a nawet do pierwszych dni Marca widzieć go można. W ogólności im zima jest ostrzejsza i dłużéj trwa, tém więcéj bywa Śnieguł i dłużéj bawią. Stósownie do wieku, mniéj lub więcéj śnieżno-białe mają upierzenie, zawsze jednak z czarnemi kresami i plamami na grzbiecie i skrzydełkach. Długość ich ciała wynosi 6 cali. W ojczyznie swojéj, Śnieguły karmią się nasionami Brzozy karłowéj i Rdestu górnego; u nas latając stadkami, zwykle po drogach zbierają wszelkie ziarno jakie natrafią szczególniéj w pomiotach końskich go szukając. Mięso mają wyborne, dla tego niekiedy, wbrew prawu gościnności, łowione bywają.

Skowronek-Górniczek, na Litwie u ptaszników pod nazwą *Filistynka* znany; nieco większy od poprzedzającego ptaszka; ma dość upstrzone upierzenie. Czoło jego, dwa pod oczami wązkie czubki, jak rożki w górę zagięte (które jednak u samicy bardzo są nieznaczne); przepaska pod okiem, księżycowata na piersiach plamka, są czarne; twarz, brwi i gardziel żółtawe; spód ciała brudno-biały, niekiedy w żółtawy przechodzący; wierzch rudawo-popielaty; w skrzydłach piórka sterowe poboczne czarne; dziobek i nogi czarniawe. Ojczyzną jego Syberja i północna Ameryka. Gnieździ się na ziemi; lot ma nizki. Żywność jego składają nasiona z Rdestu, Bylicy i tym podobnych roślin. U nas wraz ze Śniegułami, Trznadlami, lata po gościńcach szukając pokarmu, a wcześniéj od Śnieguł odlatuje.

Krzywodziób czyli *Krzywonos*. Dziób ma mierny, gruby, ścieśniony; ostrza końca szczęk obu jednostajnie zakrzywione, nawzajem się krzyżują i temu to ukształceniu dziobka winien swoją nazwę. Długość ciała jego wynosi 6 cali; upierzenie ma ceglasto-czerwone, gdzie niegdzie zielono i żółtawo pociągnięte. Lotki i sterówki skrzydeł czarne, zielonawo brzeżyste. Ojczyzną Krzyżodzioba są północne kraje Europy aż do Grenladji, Azji i Ameryki. Przybywa do nas wtenczas, gdy inne ptaszki już odleciały; mianowicie w Listopadzie, z wiosną na powrót na północ odlatuje, trzyma się zwykle w borach jodłowych, gnieździ się w Styczniu na wysokich drzewach. Pokarmem jego ulubionym są nasiona jodłowe i sosnowe. Młodo złowiony łatwo się oswaja, a dość przyjemnym gwiżdżącym głosem, tudzież żywością ruchów, od miłośników ptastwa w klatkach trzymany, poszukiwany bywa. To też nasz stary Autor Myślistwa ptaszego, tak o nim mówi:

,,Ptak to borowy y wdzięcznie też śpiewa,
Y miejsce z tego u myśliwców miewa,
I że go w klatkach dostatkiem chowają,
I kochanie wielkie w nim mają".

Gustaw Belke.

[1]) Emberiza nivalis; Alauda alpestris; Loxia curvirostra.

POGADANKI PRAWNE.

II.

Rada familijna w opiece nad małoletniemi.

Rada familijna jest to zgromadzenie złożone z osób połączonych węzłami pokrewieństwa i powinowactwa a niekiedy i stosunkami przyjaźni z małoletniemi, w interessach których zgromadzenie to czuwa nad działaniami opiekunów mających powierzony kierunek wychowania osób nieletnich, oraz zarząd ich majątkiem.

Zwołanie Rady familijnéj może być nakazane na żądanie krewnych i powinowatych nieletniego, wierzycieli, osób interesowanych nawet i Prokuratora Królewskiego lub też z urzędu przez Sąd Pokoju, Prezydenta, Burmistrza lub Wójta gminy. Przedewszystkiem należy ocenić, który z tych urzędników jest właściwym do zwołania, a za wskazówkę

do tego służą pewne cechy zewnętrzne położenia majątkowego osób, w interessie których Rada familijna ma. być zebraną. Nieletni posiadający nieruchomość na własność lub w zastawie, dzierżawę dóbr ziemskich, folwarku lub też gdy massa czynna majątku ruchomego wynosi 1,500 rubli srebrem, albo posiadłość czyni 75 rsr. rocznego dochodu, wtedy majątek taki stanowi przedmiot opieki zwanéj dla krótkości wyrażenia *większą*, a Radę familijną zwołuje Sąd Pokoju. Gdy zaś majątek podlegający opiece, nie znajduje się w żadnym z powyższych przypadków, sprawia on wtedy potrzebę ustanowienia *opieki mniejszéj*, a obowiązek wezwania członków na Radę należy do Prezydenta, lub Burmistrza, w Warszawie zaś do Komisarzy administracyjnych. Władza urządzenia opieki nad nieletniemi i wszelką pozostałością po włościanach, składającą się z gruntów pod przepisy Najwyższego Ukazu z dnia 19 Lutego (2 Marca) 1864 roku podchodzących, a to bez względu na przestrzeń nieruchomego i wartość ruchomego majątku, oddana jest Wójtom gminy, a co do innych mieszkańców wiejskich, nie należących do stanu włościańskiego tylko wtedy, jeżeli majątek ruchomy nie dochodzi 1,500 rsr. lub gdy obszerność gruntów jest mniejszą od włóki, w przypadku przeciwnym, opiekę urządza Sąd Pokoju, według zasad prawa cywilnego.

Nie rachując prezydującego Sędziego Pokoju lub innych urzędników wyżéj wymienionych, którzy są przytem członkami Rady, w skład jéj wchodzi sześciu członków wybranych z pomiędzy krewnych lub powinowatych osoby podlegającéj opiece, zamieszkałych w miejscu w którem opieka jest otwartą lub w niewielkiéj od niego odległości. Pod tym względem prawo robi różnicę między opiekami. Jeżeli w miejscu gdzie ma być urządzoną opieka, nieletni niema krewnych, jakich prawo powołuje do Rady, wtedy trzeba rozróżnić czy opieka jest większa lub mniejsza. W pierwszéj to jest większéj, w któréj Rada przez Sąd się zwołuje, krewni bliżsi stopniem chociaż odległéj zamieszkali, winni być wezwani przed krewnymi dalszymi, a bliżéj zamieszkałymi, albowiem interes tu jest większy i mimo dalszéj odległości, zamieszkania, zechcą mieć udział w obradach i nie będą obojętnymi na dobro nieletnich. W opiekach mniejszych, Burmistrz ogranicza się na wezwaniu tych krewnych którzy się znajdują w miejscu otwarcia opieki, a jedynie tylko na żądanie stron interesowanych, urzędnik ten po odległéj zamieszkałych krewnych może wezwanie uczynić. W razie braku znanych krewnych w jednéj lub drugiéj opiece, zwołujący Radę familijną, poprzestaje na znajomych lub przyjaciołach zmarłych rodziców.

Członkowie mający zasiadać w Radzie, powinni być wzięci w połowie z krewnych i powinowatych z linji ojczystéj, a w drugiéj połowie z linji macierzystéj; krewny bliższy wyłącza dalszego, ten znów powinowatego, a z kilku krewnych równego stopnia, starszy wiekiem ma pierwszeństwo przed młodszym. Jednakże co do wymienionéj wyżéj liczby sześciu członków Rady, prawo robi wyjątek, że może ona składać się z większéj liczby gdy wstępni i wdowy wstępne, rodzeni bracia nieletniego i mężowie jego siostr rodzonych są liczniejsi w familji jak sześć. Ta ilość tylko wtedy obowiązuje bezwarunkowo, gdy nieletni ma samych dalszych krewnych, gdy zaś są bliscy, skład Rady będzie liczniejszy.

Zwołanie Rady familijnéj czy z urzędu, czy na żądanie stron interesowanych, należy do urzędnika prezydującego, który ma prawo ułożenia listy osób mających przybyć na posiedzenie. Zasięga on od żądających zwołania Rady wiadomości o krewnych najbliższych i ich zamieszkaniu; wreszcie oznacza termin w jakim Rada się odbędzie, zważając na przepisy pod względem czasu jakiego potrzeba między chwilą wezwania i zebrania. Członkowie niestawający ulegają karze pieniężnéj, wymierzonéj przez samego prezydującego w Radzie, która to kara w opiekach większych może dochodzić do 50, a w mniejszych do 2 złotych; kara taka wszakże może być umorzona, gdy przyczyny niestawiennictwa będą udowodnione.

W przypadku nieprzybycia jednego lub kilku członków, prezydujący może odroczyć posiedzenie na inny dzień. Członkowie jednak nie są obowiązani do osobistego stawiennictwa, mogą oni być zastąpieni przez pełnomocnika do tego umocowanego, ale każdy taki zastępca może zastępować tylko jednego członka, kilku więc członków nie może się wyręczyć jednym pełnomocnikiem wspólnie przez nich upoważnionym.

Uorganizowana Rada familijna na zasadach wyżéj podanych, odbywa posiedzenia w urzędzie ją zwołującym, (może się jednak zebrać i w mieszkaniu opiekuna lub jednego z członków), przy drzwiach zamkniętych, w komplecie, który aby był prawnym i uchwały jego ważnemi, najmniéj z pięciu wezwanych członków złożonym. Uchwały Rady zapadają większością głosów, w razie nierówności zdań, przeważa zdanie za którem oświadcza się prezydujący.

Rada familijna jako ciało obradujące nad interesami opieki, ma władzę stanowienia w wielu przedmiotach, których wyliczenie tu, przekraczałoby zakres pogadanki, wymieniamy więc tylko jéj atrybucje ważniejsze: Mianuje ona *opiekuna głównego* gdy żadne z rodziców nie żyje, lub jeden żyjący sprawować jéj nie może, lub wreszcie gdy opiekun przez testament ostatnio umierającego rodzica nie był ustanowiony. W każdéj opiece naznacza jednego *opiekunem przydanym*, który obowiązany jest kontrolować czynności opiekuna głównego i przedsiębrać wszystko to co dla interesu nieletniego jest korzystne. Daléj, Rada familijna orzeka czy opieka prawna ma nadal pozostać przy matce nieletniego, gdy ona oświadcza zamiar wstąpienia w nowe związki małżeńskie.

Podczas samego sprawowania opieki, Rada familijna czuwa ubocznie nad kierunkiem wychowania osoby nieletniego, władza bowiem bezpośrednia co do wychowania, umieszczenia w szkołach lub w inny sposób, należy do opiekuna. Gdy opiekun nie będący wstępnym, znajduje potrzebę surowszego skarcenia domowego, winien odnieść się do Rady familijnéj, która ma obowiązek środki skarcenia obmyśleć i wykonanie onych nakazać.

Rada familijna oznacza epokę, w któréj opiekun przydany winien słuchać rachunków z zarządu majątkiem opiekuna głównego i takowe następnie przedstawić Radzie, która termin roczny może przedłużyć najdaléj do lat trzech. Wreszcie wpływ Rady familijnéj jest konieczny gdy opiekun główny: a) pragnie wziąść własność nieruchomą nieletniego w dzierżawę lub najem; b) gdy chce zaciągnąć dług na rzecz nieletniego, obciążyć hypoteką dobra nieruchome lub takowe sprzedać; c) bez zezwolenia Rady opiekun nie może ani przyjmować, ani zrzekać się spadku jaki by w ciągu opieki na nieletniego przypadł; d) przyjąć darowizny na rzecz nieletniego uczynionéj; e) podnosić, ani obciążać kapitałów hipotekowanych należących do nieletniego; f) rozpoczynać spraw imieniem małoletniego w przypadkach bliżéj w prawie oznaczonych; g) nie może żądać działu majątku, z którego by dla nieletniego część jakaś przypadała; h) nie może zawierać żadnych układów pojednawczych, kończących spory między opieką a osobami trzeciemi istniejące; i) nakoniec Rada familijna ma władzę złożenia opiekuna z opieki, ile razy okaże się tego potrzeba dla jego niezdolności lub braku odpowiedzialności. Wszystkie powyższe wypadki, wymagają zawsze upoważnienia Rady familijnéj, niektóre zaś z nich nadto podlegają zatwierdzeniu Trybunału, który stanowi po wysłuchaniu wniosków Prokuratora Królewskiego.

Henryk Turowski.

POGADANKI
Z dziedziny Sztuk Pięknych.
II.

Zdarzyło się nam nieraz słyszéć zarzuty czynione artystom, że z pomysłami swymi około jednych i tych samych krążą postaci. Z innéj znów strony dość upowszechnionem jest mniemanie, że dzieje nasze jakkolwiek nieubogie w ważne fakty polityczne, mało jednak przedstawiają wątku dramatycznego. Oba te zarzuty są nieuzasadnione.

Najprzód co do artystów, dziwić się niema czemu, że też same postaci i jednocześnie, obierają za przedmiot do swoich obrazów, zwłaszcza gdy te postaci, jak naprzykład Jadwiga, znalazły wymownego historyka, który w miejsce kilku wzmianek tradycyjnalnie powtarzanych, rozwinął dosadnie odwzorowany, pełen malowniczych szczegółów obraz życia téj, we mgle wieków przebłyskującéj postaci.

Co się tyczy historji, téj niebrak bynajmniéj faktów i postaci wysoce dramatycznych, tylko że fakty te, przez kronikarzy zaledwie dotknięte, często umyślnie lub mimowolnie przekręcone, oczekują dotąd nowszych badań, wyjaśnień i dowodów, oczekują genjalnych badaczów, którzyby w te skielety historji, potrafili tchnąć ożywczego ducha i przedstawić je ogółowi zarówno krytycznie jak wymownie.

Oczekuje też upowszechnienia wiele skarbów spoczywających dotąd w ukryciu, dotyczących prywatnéj zakulisowéj strony dziejów, która jeśli dla historyka ma wartość, to dla malarza nieoszacowaną jest i niezbędną.

Uwagi te nasunął nam świeżo wystawiony obraz F. Cynka, przedstawiający: „Pożegnanie Jadwigi z Wilhelmem w refektarzu klasztoru Franciszkanów w Krakowie.”

W przeciągu bowiem kilku lat ostatnich, oglądaliśmy na naszéj wystawie „Przysięgę Jadwigi” ś. p. Simlera, tegoż artysty szkic rysunkowy: „Jadwiga na zamku Krakowskim.” Gersona: „Dymitr z Goraja powstrzymujący Jadwigę” i nakoniec obecnie wystawiony obraz Cynka, który o ile wiemy, nie ten jeden tylko z życia Jadwigi poczerpnął temat.

Dodać przytém należy, że pomimo częstego powtarzania, postać Jadwigi oczekuje zawsze twórczéj ręki, nikomu bowiem dotąd nieudało się dosięgnąć w całéj prawdzie i piękności tego ideału miłości i poświęcenia. W przedstawianiu jéj, grzeszono dotąd zbytkiem liryzmu. Gerson usiłował wybrnąć z tego, również usiłowanie widoczném jest w obrazie Cynka, który jednak unikając czułostkowości, wpadł znów w drugą ostateczność a mianowicie: w brak uczucia właściwego obranéj przezeń sytuacji.

Ma to być pożegnanie dwojga kochanków, tymczasem każdy nieświadomy historji mógłby odgadywać, że to jest chwila nawrócenia, przebaczenia lub cóś w tym rodzaju. Klęcząca poza Wilhelmem Jadwiga, wskazująca na krucyfiks, nie wyrażają chwili przez artystę obranéj. Szkoda że p. Cynk nie badał tak skrupulatnie duchowéj strony przedmiotu, jak to uczynił z zewnętrzną jego formą. Przyznajemy bowiem chętnie, że obraz p. Cynka pod względem wykonania bardzo wiele ma zalet i dla tego też szerzéj o nim rozpisaliśmy się. W obrazie tym w porównaniu z dawniejszymi utworami tegoż artysty—postęp widoczny, chociaż są jeszcze i rażące usterki w rysunku i ogólnéj harmonji.

Inne nowości z wystawy (których nawiasem mówiąc dość skąpo), godne są uwagi bardziéj dla tego, że głośnemi u nas imionami są podpisane.

Januarego Suchodolskiego: „Konwój rannych, epizod z 1812 roku” i „Zjazd na polowanie” już dawniéj mieliśmy przyjemność oglądać na wystawie i jak dawniéj tak i teraz nieaprobujemy wyblakłości pejzażu, który w tego rodzaju obrazach, nie jest tak dalece rzeczą podrzędną aby go lekceważyć. Tembardziéj, gdy, jak w pierwszym z tych obrazów są figury i konie dobrze pojęte i malowane.

Ruśkiewicza: „Krajobraz zimowy z nad Pilicy” ładnie namalowony. Widocznie p. Ruśkiewicz najlepiéj sobie radzić potrafi z lodem, śniegiem i całą charakterystyką zimy.

Millera: „Portret pani W.” i „Portret blondynki z albumem w ręku,” odznaczają się zwykłą temu artyście zręcznością traktowania. W ostatnim tylko, zbyt czarne tło, odbiera całą wartość lekkim tonom w jakich głowa jest utrzymaną.

Horowitza: Portrety męzki i kobiecy, malowane ze smakiem, lecz cokolwiek płaskie.

Kolasińskiego: „Kwiaty”, ładnie dobrane i wykończone. Czarna tylko nisza, w któréj bukiet umieszczony, odbiera wdzięk i lekkość kwiatom, które zyskałyby niezawodnie, gdyby artysta odważył się dać im za tło powietrze.

F. T.

RPZYRZĄDY w GOSPODARSTWIE DOMOWEM.

Nowe sitko do herbaty.

Niejaki *Fild*, wynalazł nowe sitko do herbaty, które kładzie się do czajnika i nieprzepuszcza nawet najmniejszego paprochu z okruszyn kwiatu lub liści herbacianych do szklanek lub filiżanek. Poprzednio robiono już srebrne i porcelanowe kule otwierane, w które nasypywano suchą herbatę. Kule te, na całéj swéj powierzchni opatrzone były dziurkami. Nie weszły one wszelako w praktyczne użycie, dla tego głównie, że opadały na dno czajnika i trzeba było często mięszać łyżeczką, aby esencja herbaciana jednostajnie była mocną.

Sitko *Filda* (Anglika), usunęło tę niedogodność, albowiem opatrzone jest ono u góry podwojnem dnem — pomiędzy któremi to dnami (litera *a*, na Figurze umieszczonéj na stronicy 125-éj), znajdujące się powietrze sprawia to, że całe sitko zamykać się mogące na skobel, trzyma się w równowadze ku wierzchowi czajnika, a przez dziurki, któremi jest opatrzone na całéj swéj powierzchni i dnie dolnem, nadaje esencji herbacianéj, jednostajną tęgość i wyborny aromat.

Sitko to z równie dobrym skutkiem może być użyte w praktyce przy warzeniu kawy i należycie zastąpić metalowe lub flanelowe woreczki, w tym celu głównie w Niemczech używane. Tylko w tym ostatnim razie, sitko o jakiem mowa, opatrzone być ma jak najdrobniejszemi dziureczkami, aby umełta kawa, nie wylatała do imbryczka, w którym się toż sitko umieszcza.

Jaka jest cena tego sitka, niewiemy — bo ono jest jeszcze nowością i o ile nam wiadomo, żadna z fabryk tutejszych niewyrabia go jeszcze. Zdaje się nam wszelako, że drogiem być niepowinno, co zresztą zależeć głównie będzie od materjału, jaki na wyrobienie onego użytym zostanie.

Polegając na zapewnieniach zagranicznych pism technicznych, które sitkowi o jakiem mowa wielkie oddają pochwały—oraz mając na uwadze: że należyte przygotowanie esencji, przy dobréj wodzie, głównie o wartości herbaty stanowi, — zwracamy uwagę panów przemysłowców naszych i czytelniczek *Opiekuna Domowego*, na ten z pozoru mały, ale ze względu powszechnego użycia herbaty, znaczący wynalazek, który w istocie, jeżeli rzetelnie praktycznym się okaże, stanowić będzie jeden z ważniejszych przyrządów w gospodarstwie domowem.

Adam Mieczyński.

Wiadomości Techniczne.

— **Utwierdzenie żelaza w kamieniu.** Prof. Artus w Jenie, wynalazł massę twardniejącą doskonale, w przeciągu

48 godzin, która już liczne próby, na wielki rozmiar czynione, wytrzymała. Jest to mięszanina z 5 części cementu portlandzkiego, 2 części piasku, 1 części miałko sproszkowanego, upalonego (lecz nie gaszonego) wapna, rozrobionego gęsto z wodą. Najprzód mięsza się 5 części cementu portlandzkiego z jedną częścią miałkiego palonego wapna, dodaje się do tego 2 części piasku, mięsza się go dobrze z pomienionymi dwoma artykułami, dodaje się nakoniec jedną część gęszczu wapiennego, a w końcu dolewa tyle szkła wodnego, wynalezionego przez profesora Fuchsa, (ciężaru gatunkowego 1,30), żeby z tego pozostała gęstawa masa. Massę tą potem zwyczajnym sposobem nakłada się kielnią w otwór przy żelaznéj sztuce, osadzić się mającéj w kamieniu, skropiwszy wprzód pomieniony otwór równie jak tę część żelaza, która przykutą być ma, rozczynem szkła wodnego.

ROZMAITOŚCI.

— **Nowe dzieła.** *Półdjable Weneckie*, powieść od Adrjatyku p. J. I. Kraszewskiego—Kraków, w drukarni Czasu 1866 r. (Cena Rs. 1 k. 35). „Półdjable Weneckie" powieść już parę lat istnienia licząca, ale wyszła z pod pióra Koryfeusza tegoczesnéj naszéj pięknéj literatury. Treść jak zwykle u Kraszewskiego nie obfita w wypadki, nie nęcąca płytkich umysłów dziwacznością wydarzeń; ale wiejąca cichą, rzewną prostotą, właściwą tylko wyższym talentom. Konrad Lipiński albo Lippi—szlachcic polski pochodzenia włoskiego, wróciwszy do wsi dziedzicznéj Robnina z konfederacji Barskiéj, smutny i złamany cierpieniem moralném—namęczywszy się długo, postanawia nakoniec podróżować—zwiedzić Wenecję, ojczyznę swych naddziadów—a potém popłynąć do Jerozolimy. Płynąc z Tryjestu na statku Padre Antonio, zabiera znajomość z kapitanem statku Zeno i córką jego cudną Casitą —która jak rozpieszczone dziecko, pragnie poznać pięknego Polaka, zaczepia go i nęci. Konrad się nie opiera, pokochał Casitę i pojął ją w małżeństwo. Ale kiedy ją przywiózł do Robnina, Włoszka nudzi się i tęschni—nie może przyrość sercem, ani do kraju, ani do rodziny męża—ani do starych sług poczciwych, zwyczajów miejscowych, wreszcie mizernieje i choruje. Konrad z bólem serca opuszcza ukochany Robnin i jedzie z żoną do Wenecji. W starym domu na Lido zastają smutną ciotkę Anuncjatę i smutniejszą wieść o zgonie kapitana Zeno, który się miał rozbić ze swym statkiem w podróży do Turcji. Casita tęschni za ojcem—Konrad tęschni za krajem, pocieszając się jedynie rozmowami o Robninie i kraju z Maćkiem swoim dawnym sługą — zakochanym we Włoszce Marjecie, która go zdradziła. Kapitan Zeno wraca, bo mylną była pogłoska o jego śmierci. Casita promienieje szczęściem, a biedny Konrad kona w milczeniu, zapomniany od wszystkich. Młoda wdowa wychodzi za innego, a na mogiłę obcego przybysza nikt ani westchnienia, ani wieńca kwiatów nie rzuci. W całéj téj powieści widnieje jedna myśl główna—jedna odwieczna prawda: że szczęście człowieka, to kęs chleba z rodzinnego zagonu, to pieśń co nad kołyską jego brzmiała, to dzwon téj świątyni, w któréj go wodą chrztu obmyto—to dafniowy kurchanek na ojcowskiéj mogile—i tę panującą myśl prześlicznie wyraża autor. Bo też Kraszewski jest mistrzem w malowaniu uczuć serca ludzkiego! Czasem czytelnik poznaje w obrazku sam siebie i mówi do siebie zdziwiony: Jak on podkradł tajemne myśli moje. Gdzie on podsłuchał bicie mojego serca? To też kto czyta *Półdjable Weneckie*, tęschni razem z Konradem za Robninem—wiernym Pukałą, starą Murzynowską, zacnym proboszczem i za tém wszystkiém co ukochał jego bohatér. Prawdę tego obrazka psuje tylko tajemnicze, jakby z „*Świata Duchów*" wzięte widzenie Casity o powrocie ojca i niezgodny z charakterem narodowym postępek biednego zakochanego Maćka, któremu Marjeta włoski sztylet w dłoń podała. *Kornelja Drzewiecka.*

— **(M. D.) Teatr Dobroczynności.** *Przedstawienie amatorskie.* „*Oskar,*" *komedja w 3 aktach Scribe'go* tłomaczenie *St. B.* „*Piękne za nadobne,*" *przysłowie dramatyczne przez M. Dzikowskiego.* W dniu 9 b. m., na dochód ubogich pod opieką Towarzystwa Dobroczynności zostających, przy zapełnionéj sali teatralnéj, miało miejsce przedstawienie amatorskie dwóch powyższych utworow dramatycznych.

„Oskar" komedja z francuzkiego tłómaczona, grywana przed laty kilkunastu na scenie tutejszego teatru Rozmaitości, jest jedną z tych sztuk Scribe'go, w których umiejętnie powikłana intryga, stanowi całą wartość komedji. Charakterów, a tembardziéj typów, nikt tam znaleść nie potrafi, bo ich rzeczywiście nie ma. Gra artystów, stanowi tu wszystko, a tem samem pominięcie najmniejszego szczegółu artystycznego, wpłynąć koniecznie musi na niekorzyść całości. Z tem wszystkiem jednak, bacząc na niezmierne trudności, towarzyszące każdemu amatorskiemu teatrowi—„Oskar", jest komedją dość dobrze nadającą się do amatorskich przedstawień, dlatego, że niepotrzebuje żadnéj szczególnéj wystawy i nosi na sobie charakter bezbarwnéj salonowości. Jak na siły amatorów, komedja ta wyszła dobrze, a nawet rola pokojówki, którą grała pani Bogowolska, oddana była z zadziwiającą precyzją artystyczną, któréj by mogła pozazdrościć nie jedna rutynowana artystka. Inne role w téj komedji, znalazły mniéj lub więcéj uzdolnionych artystów—amatorów, do których należą: Panna Brunner, pp. Stanisław Grzywiński, Piramowicz i Bocheński.

Przysłowie dramatyczne „*Piękne za nadobne*" w 1-m akcie, drukowane przed kilku tygodniami w „Przeglądzie Tygodniowym", nie może być tu przedmiotem żadnego rozbioru, gdyż piszący niniejsze słowa, jest jego autorem. Wspomnieć nam tylko należy, że udział w grze téj sztuki przyjęły: pani Kamocka, panna Benda (siostrzenica pani Modrzejewskiéj) i panna Hofman, jak również pp. Stanisław Grzywiński i Jan Minasowicz.

Pomiędzy jedną komedją, a drugą, p. Aleksander Chodecki deklamował utwory Deotymy, Mirona i „Ojcze nasz" przy towarzyszenia fortepjanu.

Całem przedstawieniem zajmował się b. dyrektor Jasiński, którego z powodu słabości w dzień spektaklu pp. Stolpe i Sawicki byli łaskawi zastąpić.

Obowiązki suflera pełnił p. Skulski, rekwizytora zaś p. Lochman.

— **Sprostowanie.** W N-rze 10-ym *Opiekuna Domowego*, w artykule wstępnym pod tytułem „*Pisma perjodyczne,*" zaszły następujące pomyłki, które w niniejszem prostujemy:

1-o Przy Gazecie Warszawskiéj wychodzi co tydzień półarkuszowy dodatek bezpłatny pod tytułem; „*Korespondent rolniczy, przemysłowy i handlowy,*" Redaktorem którego ma być podobno p. Sygietyński.

2-o Redaktorem *Gazety Lekarskiéj* jest nie p. Gliszszyński, jak to mylnie podano w jednym z kalendarzy informacyjnych, lecz prof. *Girsztowt Polikarp*; nadto, pominięto w wykazie następujące pisma, wydawane przez Redakcję tejże Gazety Lekarskiéj:

a) *Biblioteka umiejętności lekarskich*, któréj półroczna przedpłata wynosi rsr. 10, oraz.

b) *Dzieje szpitali Królestwa Polskiego*, które prenumeratorowie Gazety Lekarskiéj otrzymują bezpłatnie.

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Za pozwol. Cenzury Rządowéj.—Redaktor: Oskar Stanisławski.